

Nocna wędrówka

Podczas wyprawy do skalnego wąwozu zwanego Trevail, położonego na morskim brzegu na zachód od St Ives, ledwie nasza grupka zaczęła zbierać się w drogę powrotną, zapadł jesienny zmierzch. Pejzaż trwał nieporuszony w blasku księżyca i rzeczywiście przyciągał spokojną i skupioną uwagę. Poważna procesja potężnych klifów stanęła w morzu, by nocy i atlantyckim falom przeciwstawić coś na kształt świadomej, szlachetnej celowości, jakby po raz kolejny skały zmuszone zostały do podporządkowania się pewnym odwiecznym nakazom. Od czasu do czasu odległa latarnia morska wyznaczała w mgłach swą złocistą ścieżkę, na chwilę wywołując z ciemności ostre kształty skał. Ten widok wystarczał, byśmy sobie uświadomili, że wobec sześciu czy siedmiu mil, które mamy jeszcze do przejścia, wieczór jest bardzo późny; poza tym otaczający nas krajobraz wydał nam się tak rozmyty, że rozważniej było nie porzucać drogi. Po pół godzinie nawet biała powierzchnia pod naszymi nogami rozplynęła się jak mgła, a dźwięk kroków brzmiał z niejakim wahaniem, jakby stopy nie całkiem wierzyły, że ziemia pod nimi istnieje. Postać kogoś, kto szedł parę jardów z tyłu, migotała przez chwilę, a potem zanikała, jakby zamykały się nad nią ciemne wody nocy; głos brzmiał, jakby dochodził z głębin. Chociaż wędrawaliśmy w zwartej grupce i staraliśmy się przeciwstawić mrokowi wesołe przekomarzania, nasze głosy brzmiały dla siebie nawzajem najwyraźniej obco, a najbardziej nawet przekonującym argumentom brakowało siły autorytetu; niepostrzeżenie zesłaliśmy na tematy stosowne do miejsc ponurych i melancholijnych.

W chwilach milczenia, które następowały coraz częściej, tożsamość osoby idącej tuż obok jakby roztapiała się w noc; człowiek

kroczył samotnie, świadom ciśnienia dookolnej ciemności, świadom także i tego, że z każdą chwilą maleje jego opór wobec niej; że niesione naprzód po ziemi ciało uniezależnia się od umysłu unoszącego się swobodnie, jakby w omdleniu. Nawet droga została za nami, a my weszliśmy – jeśli słowem opisującym czynność tak określoną można się posłużyć przy opisie czegoś tak nieokreślonego, jak nasz obecny ruch po czymś, co za dnia jest polem – weszliśmy w bezdroża oceanu nocy. Od czasu do czasu trzeba było sprawdzać ziemię pod stopami, aby pozbyć się wątpliwości co do tego, że istnieje naprawdę. Zarówno oczy, jak i uszy mieliśmy szczelnie zaklejone, a może – skoro naciskała na nie jakaś nieuchwytna siła – niepostrzeżenie straciły one zdolność odczuwania, tak że aby przyjąć do wiadomości pojawienie się gdzieś w dole kilku światel, musieliśmy podjąć pewien świadomy wysiłek. Czy rzeczywiście widzimy je, jak za dnia, czy to może tylko wizja z wnętrza umysłu – jak te gwiazdki, które nam wirują przed oczami, kiedy się uderzymy? Oto wisiały gdzieś tam, unosiły się bez żadnego zaczepienia, w miękkiej ciemności doliny pod nami; kiedy bowiem oko uznało, że są prawdziwe, umysł ocknął się i skonstruował schemat świata, w którym można je było umieścić. Musi tam także być wzgórze, miasteczko pod nim, wijąca się wokół niego droga, którą pamiętaliśmy; tuzin światel może uczynić bardzo wiele dla skonsolidowania świata. Najdziwniejszą część pielgrzymki mieliśmy już za sobą, bo teraz wyłoniło się coś widzialnego; przed sobą mieliśmy dowód. Poza tym znaleźliśmy się już na drodze i kroczyliśmy naprzód nieco swobodniej. Znajdowali się tu także inni ludzie, choć nie byli tacy sami jak za dnia. Nagle z boku, tuż koło nas, zapaliło się światło, a kiedy tylko dojrzeliliśmy, że się ku nam zbliża, usłyszeliśmy skrzywienie kół i przed nami rozświetlił się człowiek na wozie; sekundę później światło zgasło, a koła ucichły; nie dotarłby do niego nasz głos. I znowu, jakby pojawiały się przed nami w pośpiechu kolejne sceny, znaleźliśmy się na podwórzu gospodarstwa, gdzie latarnia chybotliwie rzucała niepewny krążek światła na zbite w stadko bydło, a nawet odszukała fragmenty naszych zatopionych postaci. Głos gospodarza życzącego nam dobrej nocy

NOCNA WĘDRÓWKA

poczuliśmy niczym mocny uścisk dłoni, która wyciąga nas na brzeg świata, ale już dwa kroki dalej znowu zalała nas potężna powódź ciemności i milczenia. Światła jednak stanęły przy nas raz jeszcze, jakby zbliżyły się cichym krokiem, niczym lampy statków mijających nas na morzu – te światła, które widzieliśmy ze szczytu wzgórze. Wioska była cicha, ale nie spała, jakby leżała z szeroko otwartymi oczami, w milczącym sporze z ciemnością; rozpoznawaliśmy kształty wsparte o ściany domów, najwyraźniej mężczyźni, którzy nie mogli spać, kiedy ciężar nocy kładł im się na oknach, wychodzili na zewnątrz i rozciągali w ciemności ramiona. Jakże rachityczne były promyki lamp wobec przewalających się wokół nich niezmiernych fal mroku! Statek na morzu jest samotny, ale o ile bardziej samotna wydawała się ta wioska, zakotwiczona na opuszczonej ziemi i wystawiona na działanie kolejnych nocy, sama wobec niezgłębionych wód ciemności.

A jednak, kiedyśmy przywykli do tego dziwnego żywiołu, odnaleźliśmy w nim wielki spokój i piękno. Wydawało się nam, że istnieją teraz tylko zjawy i duchy rzeczy materialnych; tam, gdzie stały wzgórza, przepływały chmury, a domy były iskierkami ognia. Oko kąpało się i odświeżało w głębiach nocy, bez konieczności ocierania o ostre krawędzie rzeczywistości; ziemia i jej nieskończone szczegóły rozpuściły się w niejednoznacznej przestrzeni. Ściany domu były za wąskie, blask lamp za ostry dla wzroku odświeżonego i uwrażliwionego; byliśmy niczym ptaki, które dopiero co rozpostarły skrzydła, a już je złapano do klatki.